

POWOLUTKU, MAMY CZAS

ANNA SENIUK, AKTORKA:

Żyłam w przekonaniu, że jestem do niczego.
Właściwie zostało mi to do dziś.
Dlatego mój zawód uprawiam z determinacją.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o buku?

ANNA SENIUK: Rósł w parku w Krzeszowicach, stary, dostojny. Gałęzie miał rozłożyste, prawie równoległe do ziemi.

To były Krzeszowice pod Krakowem.

I jedno z miejsc w naszej tułaczce, po wypędzeniu ze Stanisławowa w 1945 r. przez ówczesne władze nazwanym niewinnie „repatriacją”. Z samego Stanisławowa i wyjazdu nie pamiętam wiele. Byłam mała.

A co Pani pamięta?

Daleką podróż, może trwała tydzień, może dwa. W wagonie bydlęcym jechaliśmy w sześć osób – rodzice, dziadkowie, moja starsza siostra i ja. Pamiętam stosy kufrów, skrzyń i żelazny piecyk na środku. No i moje pierwsze kino – przez szparę w drzwiach wagonu przesuwali się obrazki. Jak w bajce: drzewo, las, pole. Z wielkiej ciekawości nawet wsunęłam się w tę szparę i wypadłam z wagonu. Na szczęście pociąg jechał bardzo wolno i ojciec zdążył po mnie wyskoczyć. Wpadł też neseserek ze skromną biżuterią mamy, ale tego już nie znaleźliśmy. Pierwszy przystanek był u cioci, która miała dom w Brzeszczach pod Oświęcimiem. Tam pochowaliśmy babcię i dziadka, myślę, że opuścili nas ze smutku i tęsknoty.

Potem Zator. Ojciec był nauczycielem, został tam kierownikiem szkoły rolniczej. Mieszkaliśmy w zdewastowanym

pałacu Potockich. W salach balowych, ozdobionych włoskimi freskami i marmurem, urządzono skup zboża i zasypano je po sufit ziarnem... A wokół zdziczały park, w którym do nocy można było się bawić z miejscowymi dziećmi. Pamiętam głos mojej mamy z okna, która śpiewnie wołała: „Aaaniuuu, Bożeeen-koooo...”. Mama miała przepiękny głos i przed wojną marzyła, by kształcić się w tym kierunku.

Potem wylądowaliśmy w Krzeszowicach, gdzie dostaliśmy nieduże mieszkanie znów przy pałacowym parku Potockich... Tam właśnie znalazłam swój kącik, czyli cudowną gałąź w kształcie hamaka na starym buku. W domu było ciasno, więc urządziłam sobie komnatę całą w liściach, gdzie było przytulnie nawet w czasie deszczu. I połykałam książki.

Jakie?

Wszystkie! Od „Poematu pedagogicznego” Makarenki i trytomowej autobiografii Gorkiego, które znalazłam w szkolnej bibliotece, po „Tajemniczy ogród”, „Pierścień i różę”, „Serce”.

To były lata 50., jeszcze czasy Stalina.

Stalin? To ten miły pan z ciepłym uśmiechem, którego portret wisiał w kancelarii mojego ojca?

Tak Pani Stalina zapamiętała?

Niezupełnie. Pamiętam jeden epizod z nim związany. Moja starsza siostra

w dniu jego śmierci kazała mi stać na baczność i trzymać wartę przy jego zdjęciu wyciętym z gazety. A potem z koleżankami serdecznie mnie wyśmiały. Okrutnie mnie wtedy upokorzył.

Proszę opowiedzieć o ojcu.

Uczył przyrody. Dzięki niemu potrafię odróżnić lipę od buka, klon od jaworu, świerk od jodły. Wiem, że polacie zawilców wczesną wiosną są pod ochroną, pokazuję wnukom, jak wygląda gil, wróbel, pliszka. Ojciec zabierał mnie

ANNA SENIUK (ur. w 1942 r. w Stanisławowie) jest aktorką teatralną i filmową, profesorem Akademii Teatralnej w Warszawie. Od 2003 r. związana z Teatrem Narodowym w Warszawie. Grała w spektaklach m.in. Kazimierza Dejmka, Jerzego Jarockiego, Jana Englerta. W filmie zagrała m.in. w „Pannach z Wilka” Andrzeja Wajdy i „Konopielce” Witolda Leszczyńskiego. Ogromną popularność przyniosła jej rola Magdy Karwowskiej w telewizyjnym serialu Jerzego Gruzy „Czterdziestolatek”. W 2016 r. nakładem wydawnictwa Znak ukazała się książka „Nietypowa baba jestem”, w której z Anną Seniuk rozmawia jej córka Magdalena Małacka-Wippich.



→ na wycieczki – najpierw niedalekie, do Czernej, Tenczynka, a później na Nosal, Kasprowy Wierch, Czerwone Wierchy. Wtedy jeszcze nie było tłumów na szlakach, śmieci i hałasu. Gdy ojca zabrakło, chodziłam z plecakiem sama.

Dlaczego sama?

W górach przeszkadza mi nawet najlepszy przyjaciel. Lubię chodzić w swoim rytmie, bo wtedy to nie jest tylko droga do celu, ale wędrówka po osobiste odkrycia i zdumienia. Bez pośpiechu.

Bo jestem introwertykiem, ale myślę, że ta cecha pogłębiła się u mnie przez cygańskie życie, które prowadziliśmy w pierwszych latach po wojnie w poszukiwaniu pracy, mieszkania i stabilizacji. Ciągłe przeprowadzki, a to furką, a to ciężarówką, a to pociągiem. Nieustanna zmiana szkół, nauczycieli, koleżanek. Musiałam więc znaleźć sobie miejsca, w których czułabym się bezpiecznie: strych, drzewo, dach, kościół.

Kościół?

Pusty kościół.

A mama?

Mama? Bardzo wymagająca, dotkliwie wytykała moje błędy, rzadko chwaliła. Pewnie chciała dobrze, ale przez wiele lat żyłam w przekonaniu, że jestem do niczego.

Właściwie zostało mi to do dziś. Dlatego mój zawód uprawiam z determinacją, by udowodnić sobie i innym, że tak nie jest. To nieustanna walka z sobą, a więc siła, która w aktorstwie jest niezbędna. Gdy jej zabraknie, przestanę być aktorką.

Aktorką została Pani w Krakowie.

Do Krakowa przyjechalśmy, jak miałam 14 lat, i zakotwiliśmy się w nim na dobre. Mieszkałam tam do 28. roku życia i były to najbarwniejsze i najbardziej intensywne moje lata. Kraków w przepiękny sposób zastąpił mi moje rodzinne miasto – przyciągnął mnie, a ja mu pozostałam wierna.

Najlepszy moment w Krakowie?

1963 rok. Tytuł Najmilszej Studentki Krakowa, koronacja na Rynku, pochodnie, dorożka, bal.

1964 rok. Dyrektor Zygmunt Hübner zaangażował mnie i Janka Nowickiego do Starego Teatru. Pamiętam, pędzili-

śmy 13 maja przez Rynek, by nie spóźnić się na pierwszą próbę i... nie pamiętam już dokładnie, chyba przeskoczyliśmy Sułkennice.

Skok w zawód?

I w nowe życie.

A moment najbardziej gorzki?

Nie chciałabym sprowadzać wspomnień tylko do moich „naj”. Pomiedzy nimi są dziesiątki najzwyklejszych zdarzeń, jak ukradkowe uśmiechy, serdeczne przyjaźnie, małe smutki, pierwsze pocałunki, Planty o świcie, „nocne wypychanie ptaków” i zaczarowana dorożka Gałczyńskiego.

A ludzie?

Bronia Kwiatek, garderobiana w Starym, każda z aktorek ją wspomina – to była ogromna osobowość. Kiedy miałam swoją pierwszą premierę, ucharakteryzowałam się tak, jak uczyliśmy się u dziekana Eugeniusza Fuldego. Tylko że całą tę wiedzę, którą posiadałam, nałożyłam na jedną twarz – swoją. „A cóż pani z siebie takiego pajaca zrobiła?” – spytała Bronia. Tym zdaniem sprowadziła mnie na ziemię, to znaczy na scenę. Przyjaźniłyśmy się do końca.

Pani już wtedy wiedziała, że ten zawód jest szczególnie trudny dla kobiety?

Uświadomiłam to sobie dopiero, gdy urodziłam dzieci. Niektóre starsze koleżanki w teatrze ostrzegały: „Pamiętaj, aktorka nie może mieć dzieci, musisz się całkowicie poświęcić zawodowi!”.

Nie posłuchałam – mam wspaniałego syna i fantastyczną córkę.

Było trudno?

Macierzyństwo to jest potężne zmęczenie połączone z euforią. I chroniczne poczucie winy. Wieczorem, kiedy mama powinna opowiedzieć bajkę, przytulić, przykryć kołderką – to jej nie ma. Dziękować Bogu, mój mąż, kompozytor, pracował w domu, więc jakoś dzieliliśmy opiekunstwo.

A Pani przed premierami?

Zwyczajnie. Uczyłam się na próbach, maksymalnie wykorzystywałam ten czas, by móc potem odciąć się od teatru i skupić na domu. Wtedy niczego nie było w sklepach – szylałam pieluchy, po-

ściel, piżamki, firanki na starym singrze, który przyjechał z nami ze Wschodu. A na wakacje wyjeżdżaliśmy zawsze całą rodziną. To był święty czas, wtedy odrzucałam nawet najbardziej atrakcyjne propozycje.

Na przykład?

Odmówiłam Wajdzie zagrania w „Kronice wypadków miłosnych”.

Szkoda, bo to piękny film.

Tak, ale wymyśliłam sobie wtedy powiedzenie, które przydaje mi się w chwilach zawodowej posuchy: „im mniej gram, tym więcej żyję”. Rzucałam się wtedy w swoje pasje: narty, żeglarsstwo, jazda konna. A później podróże – od Szanghaju przez Podlasie po Maderę. A stosunkowo niedawno kupiłam sobie chatkę, o której zawsze marzyłam. Moja przyjaciółka Maria znalazła mi stuletni domek na Podkarpaciu. Nie miałam czasu go obejrzeć, więc Maria kupiła mi go w ciemno. Kiedy pojechałam wreszcie zobaczyć moje чудо, chatka się po prostu zawaliła! Widocznie stała sobie i czekała, by wreszcie ktoś ją kupił i wyremontował. (śmiech)

O!

Tak, z wiekiem pozwalam sobie na różne szaleństwa. Zamiast kupić coś blisko Warszawy, mam prawie 400 km do mojej chatki, a spędzam tam tylko parę dni w roku. Niepraktycznie, ale bardzo pięknie.

Jest stary sad – jabłonie, grusze, nieopodal kapliczka słynąca z cudów i studnia z uzdrawiającą wodą.

Nie daje mi spokoju to, że aktorstwo jest szczególnie trudne dla kobiety.

Ma pani na myśli nieubłagany czas? Co prawda Jan Nowicki powiedział mi kiedyś, że kobiety stare mają zmarszczki, mężczyźni zaś „szlachetne bruzdy”. Tak, to prawda, na szczęście od początku – dzięki dyrektorowi Hübnerowi – oprócz tak zwanych amantek grałam role komediowe i charakterystyczne. Dlatego nigdy nie odczułam brzemienia zmarszczek i kilogramów. Mając lat 60 zagrałam 80-letnią staruszkę w sztuce Siemiona Złotnikowa „Odchodzi mężczyzna od kobiety”. To była zresztą jedna z moich ukochanych ról. A Márta Mészáros proponowała mi rolę w operetce „Hrabina Marica”. Czy to nie cudowne w moim

wieku wchodzić na scenę w cekinach i strusich piórach? Im jestem starsza, tym bardziej pozwalam sobie na drobne szaleństwa.

Pani ma też szczęście do reżyserów.

W ogóle mam szczęście do ludzi. Kiedy dostałam propozycję, by wykładać w szkole teatralnej, ogarnął mnie popłoch. Co prawda w trzecim pokoleniu byłabym nauczycielką, ale nie studio- wałam pedagogiki. A w tego typu szkole z każdym trzeba pracować indywidualnie.

Jeden jest wrażliwy, drugi bezczelny, trzeci udaje, czwarty w ogóle nic nie robi, a piąty się boi. Zadzwoiłam więc do profesora Aleksandra Bardiniego i spytałam, jak sobie mam z tym wszystkim poradzić. „Nie kłamać” – odpowiedział krótko.

Tyle?

W tym jest wszystko. Nie buduje się autorytetu na kłamstwie. Młodzi to czują.

Kto oprócz Bardiniego był dla Pani ważny?

Zbigniew Herbert. Napisał do moich studentów list z okazji premiery spektaklu dyplomowego „Opowiadki o Panu Cogito” w reżyserii Zbigniewa Zapasiewicza. Herbert był wtedy bardzo chory i nie mógł przyjść na spektakl.

Ma go Pani pod ręką? Proszę przeczytać.

„Do Studentów Akademii Teatralnej, 14 I 1995 r.

Drodzy Nieznajomi, jesteśmy dość osobliwą, małą, skłóconą gromadką, bez której prześwietna ludzkość może się zupełnie dobrze obejść. Jesteśmy beznadziejną mniejszością – i co gorsza, uzurpujemy sobie prawo do wzniesienia niepokoju. Chcemy zmusić naszych bliźnich do refleksji nad ludzkim losem, do trudnej miłości – jaką winni jesteśmy sprawom wielkim – także pogardy dla tych wszystkich, którzy z uporem godnym lepszej sprawy starają się człowieka pomniejszyć i odebrać mu godność. Czekają Was życie wspaniałe, okrutne i bezlitosne. Bądźcie w każdej chwili, w każdym wypowiedzianym ze sceny słowie po stronie wartości, za pięknym rzemiosłem przeciw tandecie, za nieustającym wysiłkiem woli i umysłu przeciw łatwej manierze, za prawdą przeciw obłudzie, kłamstwu i przemocy.

Niby dlaczego mam kawę
parzyć błyskawicznie?
Dlaczego nie mogę
powolutku nasypać, zakręcić,
usłyszeć szum.

**Pozbyliśmy się rytuałów,
bo szybko, bo szybciej...**

I nie bądźcie – na litość boską – nowocześni, bądźcie rzetelni. Hodujcie w sobie odwagę i skromność. Niech Wam towarzyszy wiara w nieosiągalną doskonałość i nie opuszcza niepokój i wieczna udręka, które mówią, że to, co osiągnęliśmy dzisiaj, »to jednak stanowczo za mało«.

Życzę Wam trudnego życia. Tylko takie godne jest artysty. Dla Was dobre myśli i pozdrowienia, i słowa nadziei.

Zbigniew Herbert”.

Można dać tytuł: „Przesłanie Pana Cogito do młodych artystów”.

Myślę, że ten list dotyczy nie tylko studentów, artystów, ale każdego z nas.

I Pani też ma trudne życie?

Jak wszyscy. To był 1993 rok, zaraz po śmierci mojej mamy okazało się, że mam raka piersi. Na szczęście trafiłam na profesora Andrzeja Kułakowskiego – nie tylko znakomitego chirurga, ale i wspaniałego człowieka, który nie pozwolił mi na psychiczną zapaść. Miał niezwykle poczucie humoru. Przed operacją zapytał:

- Jak pani spała dzisiejszej nocy?
- Wcale nie spałam.
- No to teraz się pani wyśpi.

A potem Pani sama wspierała kobiety po mastektomii.

Jeździłam do klubów amazonek na spotkania i rozmowy.

Co Pani im mówiła?

To, co sama sobie kiedyś. Dla tych kobiet bardzo ważny jest ktoś, kto osobiście da świadectwo. Że mamy nowe życie i nie możemy go zmarnować, a wstyd kobiet nie jest na miejscu, bo to tylko choroba.

Spotykałam kobiety, które rezygnowały z pracy, chowały się w domu, wsty-

dziły się nawet nie tego, że straciły piersi, ale że ludzie o tym wiedzą.

Odpisywałam na listy, które kobiety słały na adres teatru. Jeżeli komuś pomagałam, to znaczy, że nie na darmo wyzdrowiałam.

Wtedy Pani wszystko przewartościowała?

Praca nad sobą wymaga czasu, zatrzymania się na chwilę. Eliminowanie z horyzontu wszelkich niewygodnych aspektów życia sprawia, że gdy dopadnie nas nagle nieszczęście, tracimy grunt pod nogami. A kiedyś bliski zmarły przebywał w domu dzień lub dwa. Był czas na pożegnanie, nawet dzieci uczestniczyły w tym misterium. To było mądre.

Teraz z tym coraz trudniej, dzieci trzymamy pod kloszem.

Sama nie mogę sobie wybaczyć, że nie mogłam być przy rodzicach, gdy odchodzili – bo ci, którzy odchodzą, potrzebują nas tak, jak my będziemy kiedyś potrzebować kogoś, by przy nas był. Gdy umarła moja babcia i leżała w domu, siedziałam obok, patrzyłam na nią, musiałam pocałować ją w strasznie zimną rękę, inną niż do tej pory.

Śmierć to przecież część życia, która powinna znaleźć swoje naturalne miejsce. Ksiądz Twardowski napisał: „W życiu musi być dobrze i niedobrze, bo jak jest tylko dobrze, to jest niedobrze”.

Ale to bardzo trudne: zajrzeć w siebie i zobaczyć, co mamy w środku.

Co Pani ma w środku?

Oj, dużo niedoskonałości. Sporo narozrabiałam, ale to już moja tajemnica. Choć przypominam sobie pewne zabawne zdarzenie, które nie najlepiej o mnie świadczy. Wychowywałam moje dzieci jak babcia mamę, a mama mnie. A tu proszę – kiedyś z synem i wnukami wracaliśmy ze spaceru i lunął deszcz. Zachwycone dzieci zaczęły wskakiwać do kałuż i bawić się w błocie. „Proszę natychmiast przestać!” – krzyknęłam ostro. A ich ojciec spokojnie: „A dlaczego?”. Pomyślałam: „Właściwie dlaczego nie? Niech skaczą. Wrócimy do domu, przebiorą się, a ubrania wrzucimy do pralki”. Ale mama i babcia...

A samotność na co dzień?

Mieszkam od lat sama i świetnie sobie z tym radzę. Ten stan nie jest mi obcy, ➔

↳ chociaż zawsze byłam wśród ludzi. Mimo tego, że jestem na emeryturze, nadal intensywnie pracowałam: teatr, film, wyjazdy do Wrocławia, Poznania, Lublina, premiery, spotkania... To nagle się skończyło wraz z ogłoszeniem pandemii.

To co Pani teraz robi?

Porządkuję – jak wszyscy teraz – archiwa rodzinne, pudła ze zdjęciami rodziców, listy dziadków, testamenty, akty chrztu. W pewnym momencie trafiłam na zdjęcia babci, która tak spokojnie na mnie patrzyła. Pozazdrościłam jej tego spokoju.

Dlaczego?

Od jej śmierci świat tak bardzo przyspieszył, a jeszcze mu mało! Ciągłe słyszę prędeż, prędeż, szybko, szybko... Pamięta pani telewizyjną reklamę urządzenia do szybkiego parzenia kawy? A niby dlaczego mam tę kawę parzyć błyskawicznie? Dlaczego nie mogę powolutku nasypać, zakręcić, usłyszeć szum, porozkoszować się zapachem, otworzyć ekspresik, nalać do filiżanki i spokojnie pić łyk po łyku. Pozbyliśmy się rytuałów, bo szybko, bo szybciej. A my właśnie zrobmy sobie teraz rytuał z powoli. Mamy czas.

Czas okupiony niepewnością.

Tak, to nie jest czas radości. Ale mimo wszystko można spróbować podzielić się czasem z tymi, którzy czekają „na smutek w telefonie długie pół minuty”. Zaczęłam dzwonić do moich starych, samotnych znajomych. Czy pani wie, że najkrótsza rozmowa trwała prawie czterdzieści minut, a najdłuższa – dwie godziny? O! To były najczęściej radosne, niekończące się wspomnienia, jednak podszyte lękiem, że odłożę słuchawkę.

A co Pani ostatnio zrobiła tylko dla siebie?

Postanowiłam pójść na spacer do Łazienek, które w końcu zostały otwarte. A jak już byłam pod Łazienkami o osiemnastej, to okazało się, że właśnie je zamykają. Więc wróciłam do domu śmiejąc się pod nosem. Pomalutku.